

ków bez przerwy wadzi się z Grassem, próbując strącić go z piedestału, krytykuje jego pewność siebie, gest „wielkopisarza”, więcej – złości się na samego siebie za to, że złości się na Grassa – ale ani na chwilę nie porzuca szacunku dla przyjaciela.

Mimo że Raddatz znajduje niemal u steru życia kulturalnego Niemiec, nie opuszcza go poczucie, że nigdzie do końca nie pasuje, nie przystaje do żadnego z „środowisk”. Robi jeden uskok za drugim, jakby nagle przestawało mu się chcieć. To poczucie inności pozwala mu na dystans, niezbędny do ogarnięcia tego dziennikarsko-pisarsko-artystycznego świata, oddzielenie ziarna od plew, nieustanne poszukiwanie właściwej miary... Analogie do Gombrowicza nasuwają się same, również ze względu na homoseksualizm, Raddatz jednak – w odróżnieniu od Gombrowicza – zawsze był w samym centrum wydarzeń. Mimo to udało mu się zachować postawę niepokorną. Pozostał głuchy na tak zwane potrzeby rynku i zabójczy imperatyw coraz większego tempa.

W 1985 został wyrzucony z «Die Zeit» za podanie w artykule błędnego cytatu z Goethego, jakby nie wystarczyło sprostowanie i przeprosiny na łamach tygodnika. Wydalenie z «Die Zeit» tłumaczono rozmaicie: podobno Raddatz już wcześniej pozwalał sobie na nieścistości, a błędny cytat z Goethego był tylko przysłowiową kroplą, która przelała czarę; podobno jego (niewyparzony) język nie pasował do wyważonego tonu redakcji «Die Zeit»; podobno jego nachalny styl dandysa, nienagannie skrojone garnitury, prywatny zbiorzek dzieł sztuki i umiłowanie Dom Perignon stały się wreszcie nie do zniesienia... Któż to może wiedzieć?

W wywiadzie dla «Berliner Zeitung» z października 2010 na pytanie dziennikarza, jak powinien wyglądać dobry felieton, Raddatz odpowiada: „Nie potrafię ani nie chcę wyznaczać reguł. Z moich obserwacji wynika jednak, że nikt już nie daje sobie czasu. Postęp techniczny umożliwił nam niewiarygodnie przyspieszenie. A na tym cierpi jakość. Goni się za pseudowydarzeniem w postaci Helene Hagemann, która z pewnością nie zasługuje na tak wielką dozę uwagi, a zapomina o autorze tej miary co Kurt Drawert [...]. Brakuje spokoju, tak potrzebnego do percepcji sztuki i pisania o niej [...]. Rygoryzm myślenia musi iść w parze z hedonizmem”. To ważny przyczynek do obecnej debaty na temat wszechobecnego przyspieszenia kosztem jakości (widać to chociażby po morderczych terminach wyznaczanych tłumaczom przez wydawnictwa), apel o to, by się zatrzymać, pozwolić sobie na *Muße*, czyli kreatywną nudę, autentyczny wolny czas, bo tylko czas daje gwarancję autentycznej, niepodrobionej jakości.

Nie jestem fanką Petera Handkego, głównie dlatego, że brak mu – z zasady – poczucia humoru i takie też jest jego piśarstwo, mianowicie śmiertelnie poważne. Humor tylko szkodzi literaturze, twierdzi programowo Handke, prywatnie podobno nawet wcale dowcipny. Z ociąganiem sięgnęłam więc do jego nowej książki, *Ein Jahr aus der Nacht gesprochen* (w roboczym tłumaczeniu „Rok między snem a jawą”).

To absolutnie niekomercyjny zbiór ponad 500 krótkich notatek, które łączy to, że zostały sporządzone przez Handkego tuż po przebudzeniu, w półśnie. Większość z nich jest zagadkowych, dziwacznych, markujących sens, który chwytamy na chwilę po to tylko, by zaraz nam się wymknął, rozplynął... Ta rezygnacja z pisarskiej dyscypliny może się niektórym wydawać zwyczajnym pójściem na łatwiznę i rzeczywiście, tylko pisarz formatu Handkego może sobie na to pozwolić. Przyjęta tu przez niego praktyka żywcem przypomina dadaistyczne wiersze z kapelusza czy *écriture automatique*. Nic nowego pod słońcem? A jednak...

W książce znaleźć można typowe już dla Handkego liryczne obrazy jak np. „westchnienia drapaczy chmur”, ale też zdania w zestawieniu z jego poetyką zupełnie zaskakujące, na przykład „Byłem zamknięty w diable ze szkła” („Eingesperrt in einem Teufel aus Glas war ich”) czy dialogi rządzące się własną, senną logiką, np. „Lubię: kluby nocne, przekąski i krutki.” – „Zapraszasz mnie?” – „Teraz musimy się napić, żeby poczuć własne imiona!” („Was ich mag: Nightclubs, Vorspeisen und Raben.” – „Lädst du mich ein?” – „Jetzt müssen wir was trinken, wo wir unsere Namen spüren!”). W tym onirycznym utworze Handke chyba po raz pierwszy otwiera drzwi komizmowi, nawet jeśli jest to komizm mimowolny, wsobny, nie zamierzający nikogo bawić, komizm, który się przydarza. Zdania zanotowane na pograniczu snu i jawy nie tworzą jednego, spójnego obrazu. To pojedyncze kawałki

kalejdoskopu, które nie komponują się w harmonijną całość, bo wolą pozostać wierne fragmentaryczności snu. Człowiek się w tym gubi, starając się odnaleźć coś w rodzaju nici przewodniej, już, już zdaje mu się, że ją chwytą, ale za chwilę pojawia się kolejna – pozorna – nić, wątek, coś w rodzaju wewnętrznej dramaturgii... Wygląda na to, że Handke chciał tym razem rozluźnić więzy pisarskiej kontroli, spróbować przechytryć wewnętrznego cenzora. Może to rodzaj terapii? Czy mu wolno? A czy każde pisanie nie jest rodzajem terapii? Po co to wszystko? A po co jest poezja? Ta książka niczego nie tłumaczy ani nie dopowiada, ale może właśnie dlatego spodoba się fanom filmów Davida Lyncha. Nie oczekujcie wyjaśnień. *The owls are not what they seem...*

KK

